

**KLASYKA
KRYMINAŁU
Z JOHNEM
REBUSEM**

IAN RANKIN

**NIE WIADOMO, CO GORSZE...
GRASUJĄCY PO LONDYNIE SERYJNY MORDERCA
CZY REBUS NA GOŚCINNYCH WYSTĘPACH.**

KIEŁ I PAZUR

ALBATROS

Tytuł oryginału:
TOOTH AND NAIL

Copyright © John Rebus Limited 1992
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Magda Zubrycka-Wernerowska, Storytel 2022

Redakcja: Agnieszka Zygmunt

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

Zdjęcie na okładce: © Teodoro Ortiz Tarrascusa/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

John Rebus

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarnej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

PROLOG

WBIJA NÓŻ AŻ PO SAMĄ rękojęść.

Takie chwile, bardzo intymne, dobrze zna z przeszłości. Jej dłoń zaciska się na chłodnej rękojęści i gwałtownym pchnięciem wbija ostrze w gardło, aż ręka dotyka szyi. Ciało przy ciele. Najpierw kurtka albo wełniany sweter, bawełniana koszula albo T-shirt, a potem ciało. Rozcina je. Nóż wije się w tkankach jak wężące zwierzę. Ciepła krew zalewa rękojęść i dłoń. (Druga dłoń zakrywa usta, by stłumić krzyki). Dokonało się. Spotkanie. Dotknięcie. Ciało jest gorące, rozwarte, rozgrzane od krwi. Kipiące wnętrze przestaje już być wnętrzem. Wrzenie. Ta chwila zbyt szybko dobiegła końca.

A ona wciąż czuje głód. Tak nie można, to nie jest normalne... ale go czuje. Zsuwa część ubrań, właściwie całkiem sporo, może nawet więcej, niż to konieczne. I robi to, co musi... Nóż wije się od nowa, a ona mocno zaciska powieki. Nie znosi tej części. Nigdy jej nie zносиła, ani wtedy, ani teraz. A zwłaszcza wtedy.

W końcu otwiera usta, odsłania kły i zatapia je w białym brzuchu, aż zaczynają zgrzytać przy rozkosznym kęsie, po

czym szepcze, jak zawsze, te same cztery słowa.

„To tylko taka gra”.

GDY DO GEORGE’A FLIGHTA zadzwonił telefon, był wieczór. Niedzielny wieczór. Niedziela powinna być czasem na błogi relaks, duszoną wołowinę i pudding z Yorkshire, na nogi wyciągnięte przed telewizorem i dokumenty zrzucone z kolan. Ale Flight przez cały dzień miał przeczucie. Czuł to już w pubie w porze lunchu, jakby w brzuchu wiły mu się robaki: małeńkie, ślepe, białe robaki, głodne robaki, robaki, których nie potrafił zaspokoić. Wiedział, czym są, i one też to wiedziały. A potem wygrał na loterii w pubie trzecią nagrodę: prawie metrowego pomarańczowo-białego pluszowego miśka. Nawet robaki go wyśmiały, a on wiedział już, że ten dzień nie zakończy się dobrze.

I właśnie nadszedł ten moment. Telefon był natarczywy niczym ostatnie zamówienia składane tuż przed zamknięciem pubu. Wydzwaniał hałaśliwie, jak zawsze, gdy złe wiadomości nie mogły poczekać do porannej zmiany. Wiedział oczywiście, co to oznacza. Czy nie tego się spodziewał przez ostatnie tygodnie? Mimo to ociągał się z podniesieniem słuchawki. W końcu zrobił to.

– Flight przy telefonie.

– Jest kolejna, panie inspektorze. To Wolfman. Załatwił kolejną.

Flight wlepił wzrok w milczący telewizor. Kluczowe momenty meczu rugby z poprzedniego dnia. Dorośli faceci biegali za piłką o śmiesznym kształcie, jakby od tego zależało ich życie. W końcu to tylko przeklęta gra. I ta głupawo uśmiechnięta nagroda, pluszowy misiek, oparty o

ścianę telewizora. Co, do cholery, ma zrobić z tym miśkiem?

– Dobra – wydusił. – Powiedz mi tylko gdzie...

– PRZECIEŻ TO TYLKO GRA.

Rebus uśmiechnął się i skinął głową Anglikowi siedzącemu po drugiej stronie stolika, po czym utkwiał spojrzenie w scenerii za oknem; udawał, że interesują go rozmazane ciemne widoki. Jeśli Anglik mówi coś raz, to z pewnością powtórzy to kilkanaście razy. Podczas podróży powiedział niewiele więcej. I ciągle wykradał mu cenne miejsce na nogi, a jego kolekcja pustych puszek po piwie wałała się po stole, wdzierając się w przestrzeń Rebusa i rozpychając się na starannie ułożonym stosie gazet i magazynów.

– Bilety do kontroli! – wrzasnął konduktor z drugiego końca wagonu.

Rebus westchnął. Szukał biletu już trzeci raz, odkąd wyjechał z Edynburga, i nigdy nie znajdował go tam, gdzie się spodziewał. W Berwick myślał, że jest w kieszeni koszuli, a tkwił w górnej zewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki od Harrisa. Potem w Durham szukał go w marynarce, a znalazł na stole, pod jednym z magazynów. A teraz, dziesięć minut po wyjeździe z Peterborough, bilet przedostał się cudem do tylnej kieszeni spodni. Rebus wyciągnął go i czekał, aż konduktor ruszy do przodu.

Bilet Anglika był tam gdzie zawsze: na wpół schowany pod puszką z piwem. Rebus, mimo że każde słowo znał już niemal na pamięć, spojrzał jeszcze raz na ostatnią stronę jednej z niedzielnych gazet. Trzymał ją na wierzchu właściwie bez powodu, jedynie z cholernej przekory, żeby

cieszyć oczy wytłuszczonymi literami nagłówka – SCOTS WHA HAE!* – poniżej którego relacjonowano zawody o Puchar Kalkuty, rozegrane poprzedniego dnia na stadionie Murrayfield. Cóż to było za starcie! Z pewnością nie dla ludzi o słabych nerwach, ale dla mocnych serc pełnych determinacji. Szkoci zwyciężyli trzynaście do dziesięciu i teraz Rebus jechał wieczornym niedzielnym pociągami z tłumem niepokieszonych angielskich kibiców, którzy zmierzali w kierunku Londynu.

Londyn. Nigdy nie przepadał za tym miastem. Nie żeby był tam częstym gościem, ale nie czerpał z tych wizyt przyjemności. Po prostu sprawy zawodowe, a jako przedstawiciel policji Lothian and Borders musiał prezentować idealną postawę. Innymi słowy, jak ujął to treściwie jego szef: „Żadnych wpadek, John”.

Zrobi wszystko, co w jego mocy. Nie żeby uważał, że może zrobić wiele, dobrego czy złego. Ale da z siebie wszystko. A jeśli oznaczało to włożenie czystej koszuli i krawatu, wypolerowanych butów i porządnej marynarki, to trudno.

– Bileciki, proszę.

Rebus podał bilet. Gdzieś tam w korytarzu przed nim, na ziemi niczyjej, w wagonie bufetowym między pierwszą a drugą klasą, podniosło się kilka głosów w rytm wiersza *Jeruzalem* Blake’a. Anglik siedzący naprzeciw Rebusa uśmiechnął się.

– To tylko gra – wymamrotał do leżących przed nim puszek. – Tylko gra.

* Pieśń patriotyczna Szkotów.

POCIĄG WJECHAŁ NA STACJĘ King's Cross z pięciominutowym opóźnieniem. Było kwadrans po jedenastej. Rebusowi nigdzie się nie spieszyło. Dzięki uprzejmości Policji Metropolitalnej miał zarezerwowany pokój w hotelu w centrum miasta. W kieszeni marynarki trzymał napisaną na maszynie notatkę z listą wskazówek, którą otrzymał z Londynu. Nie zabrał ze sobą dużo bagażu, bo czuł, że życzliwość Metropolitalnej będzie miała swoje granice. Spodziewał się, że pobyt tutaj potrwa zaledwie dwa lub trzy dni, a potem koledzy po fachu na pewno się zorientują, że jego pomoc w śledztwie jest zbyteczna.

A więc mała walizka, sportowa torba i aktówka. W walizce miał dwa garnitury, buty na zmianę, kilka par skarpet i majtek oraz dwie koszule (z pasującymi do nich krawatami). W sportowej torbie – małą kosmetyczkę, ręcznik, dwie powieści w miękkiej oprawie (jedną częściowo przeczytaną), budzik podróżny, aparat fotograficzny z obiektywem trzydzieści pięć milimetrów, lampą błyskową i kliszą, T-shirt, rozkładaną parasolkę, okulary przeciwsłoneczne, radio tranzystorowe, pamiętnik, Biblię, butelkę z dziewięćdziesięcioma siedmioma tabletkami paracetamolu oraz drugą – owiniętą T-shirtem – z wyborną whisky Islay single malt.

Innymi słowy, wszystko, co niezbędne. W aktówce znajdowały się długopisy, notatnik, dyktafon, kilka czystych i nagranych wcześniej kaset oraz gruba teczka z tektury, wypełniona skopiowanymi dokumentami Policji Metropolitalnej i kolorowymi fotografiami o wymiarach dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów, włożonymi do małego segregatora wraz z wycinkami z gazet. Na teczce widniała biała naklejka, z jednym tylko zapisanym na

maszynie słowem: WOLFMAN.

Rebus się nie spieszył. Ta noc – a właściwie to, co z niej zostało – należała do niego. W poniedziałek o dziesiątej rano miał się stawić na odprawie, ale pierwszą noc w stolicy mógł spędzić tak, jak chciał. Pomyślał, że pewnie spędzi ją w pokoju hotelowym. Nie wstawał z miejsca, dopóki inni pasażerowie nie opuścili wagonu, po czym zsunął torbę i aktówkę z górnej półki i ruszył w kierunku przesuwanych drzwi, obok których leżała na półce jego walizka. Wytargał bagaże na peron, zatrzymał się na chwilę i zaczerpnął powietrza. Zapach na tym dworcu nie przypominał żadnego innego, a już z pewnością nie zapachu stacji Waverley w Edynburgu. Powietrze właściwie nie cuchnęło, ale wydało się Rebusowi zużyte i zmęczone. Nagle odczuł znużenie. Jego nozdrza wypełniło coś jeszcze, coś słodkiego i zarazem odrażającego. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć, z czym ta woń mu się kojarzyła.

W hali dworcowej, zamiast ruszyć od razu do metra, podszedł do stoiska z książkami. Kupił przewodnik po Londynie i wsunął go do aktówki. Właśnie przywieziono świeżutką prasę poranną na jutro, ale zignorował ją. Była niedziela, a nie poniedziałek. Niedzielę uważał za dzień Pański, może właśnie dlatego razem z innymi rzeczami spakował Biblię. Nie chodził na msze od tygodni... może nawet od miesięcy. Ostatni raz zdarzyło mu się to, gdy odwiedził katedrę na Palmerston Place. Było to miejsce przyjemne i słoneczne, ale zbyt odległe od jego domu, żeby opłacało mu się jeździć. Poza tym to zinstytucjonalizowana religia, a on z wiekiem nie nabierał zaufania do instytucji Kościoła, wręcz narastała w nim nieufność.

Poczuł głód. Może coś przekąsi po drodze do hotelu...

Minął dwie kobiety prowadzące ożywioną dyskusję.

– Dopiero co słyszałam o tym w radio, dwadzieścia minut temu.

– Zabił kolejną?

– Tak, wciąż o tym mówią.

– Nawet nie chcę o tym myśleć. – Kobieta się wzdrygnęła.

– Wiedzą na pewno, że to on?

– Nie na pewno, ale to przecież oczywiste.

Było w tym nieco prawdy. Rebus przybył więc w samą porę; wokół niego rozgrywał się kolejny akt dramatu. Kolejne zabójstwo. W sumie cztery. Cztery w ciągu trzech miesięcy. Ta mała gnida nie próżnowała. Morderca, którego nazwali Wolfmanem. Nazwali go Wolfmanem, a potem wysłali wiadomość do szefa Rebusa. Pożycz nam swojego człowieka, powiedzieli. Zobaczmy, co potrafi. Szef Rebusa, komendant Watson, przekazał mu list.

– Lepiej weź ze sobą srebrne kule, John – zażartował. – Wygląda na to, że jesteś ich jedyną nadzieją.

A potem zaśmiał się, wiedząc równie dobrze jak Rebus, że ten niewiele może pomóc w tej sprawie. Ale Rebus przygryzł dolną wargę i tylko milczał przy przełożonym, który siedział za biurkiem. Zrobi, co w jego mocy. Zrobi wszystko. Dopóki go nie przejrzą i nie odeślą z powrotem do domu.

Poza tym być może potrzebował zmiany. Watson wydawał się zadowolony, że się go pozbywa.

– Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, przez jakiś czas będziemy poza zasięgiem.

Pochodzącego z Aberdeen komendanta edynburscy policjanci nazywali Farmerem Watsonem, o czym ten nie wiedział. Dopóki pewnego dnia Rebus nie wypił o jednego

łyka single malt za dużo i nie wyskoczył przy nim z tym przewiskiem. Od tego czasu przydzielano go do wielu żmudnych zadań, roboty za biurkiem, obserwacji i szkoleń zawodowych.

Szkolenia zawodowe! Watson miał przynajmniej poczucie humoru. Tematem ostatniego było: „Zarządzanie dla starszych funkcjonariuszy policji” i okazało się małą katastrofą... Cała ta psychologia i gadanie o tym, jak być przyjaznym dla młodszych funkcjonariuszy. Jak ich angażować, jak motywować, jak budować relacje. Po powrocie ze szkolenia Rebus przez jeden dzień próbował wcielać wiedzę w czyn; jeden dzień angażowania, motywowania, budowania relacji. Pod wieczór podszedł do niego detektyw posterunkowy, uśmiechnął się i poklepał go po plecach.

– Cholernie ciężko dziś harowałeś, John. Ale podobało mi się.

– Zabierz rękę z moich pieprzonych pleców – warknął Rebus. – I nie zwracaj się do mnie po imieniu.

Posterunkowy otworzył usta.

– Ale mówiłeś... – zaczął, po czym machnął ręką i odpuścił.

Krótkie wakacje dobiegły końca. Rebus spróbował być menadżerem. Spróbował i znienawidził ten fach.

Był już na schodach, w połowie drogi do metra, gdy nagle zatrzymał się, odłożył walizkę i aktówkę, rozpiął zamek błyskawiczny sportowej torby i wyjął z niej radio tranzystorowe. Włączył je, jedną ręką przyłożył do ucha, a drugą zaczął obracać pokrętko. Wreszcie natrafił na wiadomości i zamienił się w słuch. Obok przechodzili podróżni, niektórzy mierzyli go wzrokiem, ale większość

mijała go jak powietrze. W końcu usłyszał to, na co czekał, wyłączył radio i wcisnął z powrotem do torby. Zwolnił dwa zatraski na teczce i wygrzebał przewodnik. Przerzucając strony z nazwami ulic na odwrocie, uzmysłowił sobie, jak wielki jest Londyn. Wielki i zaludniony. Coś koło dziesięciu milionów, zgadza się? Czy to nie dwa razy więcej, niż wynosi populacja Szkocji? Trudno było to sobie nawet wyobrazić. Dziesięć milionów dusz.

– Dziesięć milionów i jedna... – szepnął do siebie Rebus, gdy znalazł nazwę ulicy, której szukał.

Komnata GROZY

– NIEZBYT ŁADNY WIDOK.

Detektyw inspektor George Flight rozejrzał się, zastanawiając się, czy sierżant ma na myśli ciało, czy okolicę. O Wolfmanie można było powiedzieć różne rzeczy, ale nie był zbyt wybredny, jeśli chodzi o teren działania. Tym razem wybrał ścieżkę nad rzeką. Nie żeby Flight kiedykolwiek myślał o Lei jako o „rzece”. Było to miejsce, w którym rdzewiały wózki z supermarketów, wilgotny pas wody otoczony z jednej strony bagnami, a z drugiej terenami przemysłowymi i niskimi zabudowaniami. Podobno można było wędrować wzdłuż Lei od jej ujścia do Tamizy w górę aż za Edmonton. Wąska rzeka biegła niczym cętkowana czarna żyła od środkowo-wschodniego Londynu do najbardziej wysuniętych na północ krańców miasta i jeszcze dalej. Zdecydowana większość londyńczyków nawet nie wiedziała o jej istnieniu.

Ale George Flight wiedział. Wychował się w Tottenham Hale, nieopodal Lei. Jego ojciec łowił ryby na kanale nawigacyjnym pomiędzy Stonebridge i Tottenham Locks. Sam za młodu grał w piłkę na bagnach, wraz ze swoją bandą

palili zakazane papierosy w wysokiej trawie i niezdarnie majstrował przy dziewczęcych bluzkach lub stanikach na nieużytkach po drugiej stronie rzeki, tuż obok miejsca, w którym teraz stał.

Przechadzał się tym szlakiem, popularnym zresztą w ciepłe niedzielne popołudnia. Mieściły się tam nadrzeczne puby, przed którymi można było popijać piwo i obserwować, jak weekendowi marynarze kursują na barkach. Ale w nocy tylko pijani, lekkomyślni i odważni wałęsali się po tej cichej i słabo oświetlonej ścieżce. Pijani, lekkomyślni, odważni... i miejscowi. Tacy jak Jean Cooper. Po rozstaniu z mężem zamieszkała z siostrą na niedawno wybudowanym małym osiedlu, rzut beretem od ścieżki holowniczej. Pracowała w sklepie monopolowym przy trasie przelotowej Lea Bridge Road i kończyła o siódmej. Nadrzeczny szlak był jej drogą na skróty do domu.

Jej ciało znalazło o dziewiątej czterdzieści pięć kilku chłopaków idących do jednego z pubów. Puścili się biegiem z powrotem na Lea Bridge Road i zatrzymali przejeżdżający radiowóz. Czynności operacyjne poszły płynnie i gładko, jak po maśle. Przybył lekarz policyjny i dołączył do detektywów z komisariatu w Stoke Newington, a ci rozpoznali modus operandi i skontaktowali się z Flightem.

Gdy zjawił się na miejscu zbrodni, było już uporządkowane, ale wciąż pełne gwaru. Zidentyfikowano ciało, przesłuchano okolicznych mieszkańców, odnaleziono siostrę ofiary. Funkcjonariusze z dochodzeniówki dyskutowali ze specami od kryminalistyki. Teren wokół ciała został odgradzony i nikt nie mógł przejść przez taśmę, jeśli nie włożył plastikowych nakryć na stopy i włosy. Dwóch fotografów robiło zdjęcia aparatem z lampą błyskową, przy

przenośnym oświetleniu zasilanym z pobliskiego generatora. Obok generatora stał radiowóz, w którym kamerzysta próbował naprawić zablokowaną kamerę wideo.

– To te tanie kasety – skarżył się. – Kupujesz i myślisz, że trafia ci się okazja, a zaraz potem taśmy się wkręcają lub coś się zacina.

– Więc nie kupuj tanich kaset – doradził Flight.

– Dziękuję za radę, Sherlocku – odburknął kamerzysta, po czym kolejny raz przeklął kasety, ich sprzedawcę i jego stragan na Brick Lane. Dopiero co je kupił, tego dnia.

Tymczasem po uzgodnieniu planu działania kryminaliści ruszyli w kierunku ciała, uzbrojeni w taśmę klejącą, nożyczki i stos dużych plastikowych worków. Z niezwykłą ostrożnością zaczęli oklejać ciało, spodziewając się wydobyć włosy i włókna z ubrania ofiary. Flight obserwował ich z daleka. Przenośne lampy rzucały na scenę jaskrawobiałą poświatę, a on, stojąc w mroku, czuł się jak widz oglądający spektakl w teatrze. Na Boga, do takiej pracy trzeba mieć cierpliwość. Robota musiała być wykonana przepisowo i z drobiazgową dokładnością. On jeszcze nawet nie zbliżył się do ciała. Jego kolej nadejdzie później. Być może dużo później.

Nagle rozległ się płacz. Dobiegał z policyjnego forda sierry, zaparkowanego na Lea Bridge Road. Na tylnym siedzeniu siedziała siostra Jean Cooper, z posterunkową – która pocieszała ją i zachęcała do wypicia gorącej herbaty z cukrem – i ze świadomością, że już nigdy nie zobaczy siostry żywej. Ale nie to było najgorsze. Flight wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie, kiedy siostra będzie identyfikować w prosektorium ciało Jean.

Jean Cooper właściwie nietrudno było zidentyfikować.

Tuż obok niej leżała na ścieżce torebka, najwyraźniej nietknięta. Były w niej listy i klucze do domu z przyczepioną przywieszką adresową. Flight nie mógł przestać myśleć o tych kluczach. Umieszczenie na nich adresu nie było zbyt mądre. Ale już za późno. Za późno, by zapobiec tej zbrodni. I znowu rozległ się płacz – żałosny długi skowyt dosięgający pomarańczowej poświaty nieba nad rzeką Lea i jej mokradłami.

Flight rzucił okiem na ciało i w myślach odtworzył trasę, którą przemierzyła Jean od Lea Bridge Road. Przeszła mniej niż pięćdziesiąt metrów, zanim została zaatakowana. Pięćdziesiąt metrów od dobrze oświetlonej i ruchliwej głównej arterii i mniej niż dwadzieścia od widocznego z tyłu rzędu bloków. Ale bezpieczeństwo na tym odcinku drogi zależało od blasku ulicznej latarni, która się zepsuła (teraz rada dzielnicy pewnie weźmie się do jej naprawy), i świateł bijących z okien mieszkań. Było wystarczająco ciemno, żeby Jean nie dotarła do celu. Wystarczająco ciemno, by popełnić odrażające morderstwo.

Nie był pewien, czy sprawcą jest Wolfman; nie mógł mieć całkowitej pewności na tak wczesnym etapie dochodzenia. Ale czuł to, czuł niczym odrętwiający zastrzyk w kościach. Teren by się zgadzał. Rany klute, o których go poinformowano, pasowały. A Wolfman milczał od prawie trzech tygodni. Trzech tygodni, podczas których tropy, które po sobie zostawiał, stały się zimne jak kamień, zimne jak ta ścieżka przy kanale. Tym razem podjął ryzyko i zaatakował wieczorem, a nie późno w nocy. Ktoś mógł go zobaczyć. Z powodu konieczności szybkiej ucieczki mógł pozostawić jakiś ślad. Proszę cię, Boże, spraw, by zostawił jakiś ślad. Flight pogłaskał się po brzuchu. Robaki zniknęły, pożarł

je kwas. Po raz pierwszy od wielu dni ogarnął go spokój. Całkowity.

– Przepraszam.

Głos był stłumiony i Flight wykonał półobrót, żeby przepuścić nurka. Za nim podążał kolejny, obaj trzymali w dłoniach potężne latarki. Inspektor nie zazdrościł policyjnym płetwonurkom roboty. Rzeka była ciemna i pełna toksyn, chłodna i najprawdopodobniej miała konsystencję zupy. Ale nie można było zwlekać z przeszukaniem jej. Jeśli zabójca przypadkowo upuścił coś do Lei albo wyrzucił do niej nóż, trzeba było te rzeczy jak najszybciej odzyskać. Muł lub przesuwające się śmieci mogą je pochłonać, nim nadejdzie świt. Nie mogli sobie pozwolić na ociąganie się. Zlecił więc przeszukanie, gdy tylko dowiedział się o zabójstwie, zanim jeszcze opuścił swój ciepły i wygodny dom, by pospieszyć na miejsce zdarzenia. Żona poklepała go po ramieniu.

– Postaraj się nie spóźnić.

Oboje wiedzieli, że to słowa rzucone na wiatr.

Gdy pierwszy płetwonurek wślizgnął się do wody i tafała rozbłysła od światła latarki, inspektor utkwiał w niej spojrzenie niczym zaczarowany. Zaraz po tym wszedł do rzeki drugi nurek i zniknął z pola widzenia. Inspektor spojrzał na niebo. Gruba warstwa chmur wisiała nad nim nieruchomo i cicho. Prognoza pogody wskazywała na poranny deszcz. Mógłby rozpuścić ślady stóp i zmyć włókna, plamy krwi i włosy. Przy odrobinie szczęścia zakończą wstępne prace na miejscu zbrodni bez potrzeby skorzystania z plastikowych namiotów.

– George!

Flight odwrócił się, żeby powitać przybysza. Był to wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce. Jego trupie rysy rozświetlał

szeroki uśmiech, szeroki na tyle, na ile pozwalała na to długa i wąska twarz. W lewej ręce trzymał dużą czarną torbę, a prawą wyciągnął, żeby przywitać się z inspektorem. U jego boku szła atrakcyjna kobieta w wieku Flighta. O ile dobrze pamiętał, była od niego młodsza dokładnie o miesiąc i jeden dzień. Nazywała się Isobel Penny i mówiąc eufemistycznie, była „sekretarką” i „asystentką” trupio bladego mężczyzny. O tym, że sypiali ze sobą przez ostatnie osiem czy dziewięć lat, nikt tak naprawdę nie wspominał, choć Isobel osobiście zdradziła ten sekret Flightowi – tylko dlatego, że chodzili do jednej klasy i od czasów szkolnych utrzymywali kontakt.

– Czołem, Philip – powiedział Flight, ściskając dłoń patologa.

Philip Cousins nie był zwyczajnym patologiem – był zdecydowanie najlepszym patologiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, z reputacją budowaną przez dwadzieścia pięć lat pracy. Dwadzieścia pięć lat, podczas których – według wiedzy Flighta – człowiek ten ani razu się nie pomylił. Oko do szczegółów i pioruńska zawziętość pozwoliły Cousinsowi rozwiązać kilkadziesiąt spraw zabójstw (lub pomóc w ich rozwiązaniu): począwszy od uduszenia w Streatham, a skończywszy na otruciu urzędnika państwowego na Karaibach. Ludzie, którzy go nie znali, mówili, że w swoich ciemnych garniturach i z zimną, szarą twarzą wygląda stosownie do swej roli. Nie mogli mieć pojęcia o jego błyskotliwym humorze, uprzejmości ani o fascynacji, jaką wzbudzał wśród studentów medycyny na wykładach w wypełnionych po brzegi salach.

Flight uczestniczył w jednym z tych wykładów, który miał coś wspólnego ze stwardnieniem tętnic, i od lat nie

zarykiwał się tak ze śmiechu.

– Myślałem, że jesteście w Afryce – rzucił i przywitał Isobel cmoknięciem w policzek.

– Byliśmy. – Cousins westchnął. – Ale Penny tęskniła za domem. – Zawsze gdy mówił o Isobel, używał jej nazwiska. Uderzyła go figlarnie w przedramię.

– Ty kłamczuchu! – skwitowała, po czym rzuciła bladoniebieskie spojrzenie na Flighta. – Och, to on nie mógł znieść rozłąki ze zwłokami. To były nasze pierwsze porządne wakacje od lat, a on mówi, że się nudzi. Możesz w to uwierzyć, George?

Flight uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Cieszę się, że zdążyłeś na czas. Wygląda na to, że to kolejna ofiara Wolfmana.

Cousins spojrzał ponad jego ramieniem w kierunku miejsca, gdzie fotografowie wciąż robili zdjęcia, technicy, kucając, przyklejali taśmę, a chmara much miała zaraz obsiaść zwłoki. To właśnie on badał trzy pierwsze ofiary Wolfmana, a taka ciągłość pomaga w śledztwie. Nie tylko wiedział, czego szukać, jakie ślady wskazywały na Wolfmana, ale też wychwyciłby wzrokiem wszystko, co nie pasowało do pozostałych zabójstw i co mogłoby sugerować zmianę modus operandi: na przykład inna broń albo nowy kąt zadawania ciosów. Mentalny obraz zabójcy tworzył się kawałek po kawałku, a Cousins był człowiekiem, który mógł Flightowi pokazać, gdzie te kawałki pasują.

– Inspektor Flight?

– Tak?

Zbliżał się do nich dźwigający walizkę i torbę sportową mężczyzna w tweedowej marynarce, a za nim podążał mundurowy. Ten pierwszy postawił na ziemi bagaże i

przedstawił się.

– John Rebus.

Twarz Flighta pozostała bez wyrazu.

– Inspektor John Rebus. – Mężczyzna gwałtownym ruchem wyciągnął w jego stronę dłoń.

Flight ujął ją i zaraz poczuł, jak dłoń wyrывa się z uścisku.

– Ach, tak – powiedział. – Dopiero co pan przyjechał? – Zerknął znacząco na bagaże. – Spodziewaliśmy się pana dopiero jutro, inspektorze.

– Cóż, wysiadłem na King's Cross i usłyszałem o... – Rebus skinął głową w stronę oświetlonej ścieżki holowniczej. – Więc pomyślałem, że przyjadę niezwłocznie.

Flight skinął głową, starając się sprawiać wrażenie zaabsorbowanego. W rzeczywistości grał na zwłokę, próbując zrozumieć Szkota mówiącego z topornym akcentem.

Jeden z techników podniósł się i podszedł do nich.

– Dobry wieczór, doktorze Cousins – przywitał patologa, po czym zwrócił się do Flighta: – Prawie skończyliśmy, więc jeśli doktor zechciałby spojrzeć...

Flight zerknął na Philipa Cousinsa, a ten z powagą skinął głową.

– Chodź, Penny.

Inspektor już miał ruszyć za nimi, ale przypomniał sobie o Szkocie. Spojrzał na twarz Johna Rebusa, a potem jego wzrok zsunął się na krzykliwą, niemodną marynarkę. Ten gość wyglądał jak bohater seriali z lat sześćdziesiątych i z pewnością nie pasował do tej ścieżki holowniczej o zmroku.

– Chce pan rzucić okiem? – zapytał wspaniałomyślnie Flight.

Rebus skinął głową bez entuzjazmu.

– Dobrze, więc proszę zostawić bagaże tutaj.

Gdy ruszyli razem, Flight wskazał w kierunku idących kilka metrów przed nimi Cousinsa i Isobel.

– Doktor Philip Cousins – poinformował. – Pewnie pan o nim słyszał.

Rebus powoli pokręcił głową. Flight wpatrywał się w niego z taką konsternacją, jakby Szkot nie rozpoznał wizerunku królowej na znaczkach pocztowych.

– Aha – powiedział chłodno. – A to Isobel Penny, asystentka doktora Cousinsa.

Isobel, usłyszawszy swoje imię i nazwisko, odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Miała ładną twarz, okrągłą i dziewczęcą, z błyszczącymi policzkami. Fizycznie stanowiła przeciwieństwo swojego towarzysza. Mimo wysokiego wzrostu była dobrze zbudowana – co ojciec Rebusa nazwałby „grubą kością” – i miała zdrową cerę, która równoważyła niezdrowy kolor cery Cousinsa. Rebus nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział naprawdę zdrowo wyglądającego patologa. Zrzucił to na karb czasu spędzanego przez nich w sztucznym świetle.

Podeszli do ciała. Pierwszym, na co Rebus zwrócił uwagę, był człowiek, który wycelował w niego kamerę wideo. Ale po chwili kamera się oddaliła, by skupić się na zwłokach. Flight rozmawiał z jednym z techników kryminalistycznych. Żaden nie patrzył drugiemu w twarz, skupiali się na paskach taśmy, które ostrożnie zdjęto ze zwłok i Cousins trzymał je teraz w ręce.

– Nie wysyłajcie ich jeszcze do laboratorium – zaordynował Flight. – Zrobimy kolejne nagranie w kostnicy.

Technik skinął głową i oddalił się.

Nagle od rzeki dobiegł hałas. Rebus odwrócił się i dostrzegł wynurzającego się z wody płetwonurka, który rozejrzał się i znów dał nura. Rebus znał podobne miejsce w Edynburgu, kanał biegnący przez zachodnią część miasta, między parkami, browarami i całkowitym pustkowiem. Badał tam kiedyś sprawę zabójstwa – pod mostem drogowym znaleziono poobijane ciało włóczęgi z jedną nogą w kanale. Sprawcę łatwo było wykryć: inny włóczęga, zwyczajna kłótnia o puszkę cydru. Sąd orzekł nieumyślne spowodowanie śmierci, ale to nie było przypadkowe zabójstwo. To było morderstwo. Rebus nigdy o tym nie zapomniał.

– Sądzę, że powinniśmy natychmiast owinać ręce ofiary – powiedział doktor Cousins z wytwornym akcentem z hrabstw otaczających Londyn. – Przyjrzę się im dokładnie w prosektorium.

– Masz rację – przyznał Flight i ruszył po kolejne plastikowe worki.

Rebus obserwował patologa przy pracy. Doktor w jednej ręce trzymał mały dyktafon i od czasu do czasu coś do niego mówił. Isobel Penny wyciągnęła szkicownik i rysowała układ ciała.

– Biedna kobieta prawdopodobnie już nie żyła, zanim upadła na ziemię – oznajmił Cousins. – Niewielkie ślady stłuczeń. Plamy pośmiertne zgodne z ukształtowaniem terenu. Powiedziałbym, że z pewnością zginęła w tym miejscu.

Zanim Flight przyczłapał z kilkoma workami, Cousins, obserwowany przez Rebusa, zdążył już dokonać odczytów temperatury powietrza i temperatury wewnętrznej ciała. Ścieżka, na której wszyscy stali, była długa i stosunkowo

prosta. Sprawca miał wystarczająco duże pole widzenia, by zauważyć, że ktoś się zbliża. Poza tym w pobliżu znajdowały się domy i główna ulica, więc wszelkie krzyki na pewno zostałyby usłyszane. Jutro zamierzali popytać we wszystkich domach. Ścieżka przy ciecie była zaśmiecona: rdzewiejące puszki po napojach, opakowania po chipsach, papierki po słodyczach, podarte i wyblakłe strony gazet. Jeszcze więcej śmieci pływało w rzece; z wody wystawał czerwony uchwyt wózka z supermarketu. Wynurzył się kolejny nurek; jego głowa i ręce poruszały się, unosząc się nad powierzchnią. W miejscu, gdzie główna droga przecinała rzekę, na moście zebrał się tłum; ludzie przechylali się przez barierkę i wlepiali wzrok w miejsce zbrodni. Mundurowi robili wszystko, co w ich mocy, by odciągnąć gapiów, odgradzając wokół nich jak najwięcej terenu.

– Na podstawie śladów na nogach, brudu, otarć i siniaków wnioskuję, że ofiara upadła, została pchnięta albo opuszczona twarzą do ziemi – powiedział Cousins. – Sprawca dopiero później przewrócił ją na plecy. – Jego głos był spokojny, niemal znudzony.

Rebus wziął kilka głębokich wdechów i uznał, że dostatecznie długo odwlekał to, co nieuniknione. Przyjechał tu tylko po to, by okazać dobrą wolę i udowodnić, że nie wybrał się do Londynu na zwykłą wycieczkę. Ale skoro już się tu znalazł, stwierdził, że i on powinien uważnie przyjrzeć się ciału. Odwrócił się plecami do kanału, płetwonurków, gapiów i policjantów stojących w kordonie. Spuścił wzrok ze swojego bagażu, stojącego samotnie na końcu ścieżki, i skierował go w dół, na zwłoki.

Ofiara leżała na wznak, z rękami rozłożonymi na boki i złączonymi nogami. Rajstopy i majtki były ściągnięte do

kolan, ale okrywała ją spódnica, choć widział, że z tyłu jest podwinięta. Jasna kurtka narciarska została rozpięta, a bluzka rozerwana, ale biustonosz był nienaruszony. Kobieta miała długie, proste, czarne włosy i nosiła duże kolczyki w kształcie kół. Jeszcze kilka lat temu jej twarz mogła być ładna, ale życie odcisnęło na niej swoje piętno. Zabójca też. Źródłem rozmazanej na twarzy i sklejującej włosy krwi była ziejąca dziura w szyi. Ciało leżało w kałuży krwi, która musiała wypłynąć spod spódnicy ofiary.

– Odwracam ją – rzucił Cousins do dyktafonu. Zrobił to z pomocą Flighta, a następnie odgarnął z karku włosy kobiety. – Rana kłuta na tyle szyi odpowiadająca większej z przodu. Powiedziałbym, że to rana wylotowa.

Ale Rebus już nie słuchał patologa. Z przerażeniem wpatrywał się w podwiniętą spódnicę kobiety. Ciało pokrywała krew, mnóstwo krwi, która plamiła plecy, pośladki i górną część ud. Z raportów, które miał w teczce, wiedział już, skąd się wzięła, ale to nie pomogło mu zmierzyć się z rzeczywistością, z przeszywającą chłodem, czystą grozą tego, co miał przed sobą. Odetchnął jeszcze kilka razy. Nigdy dotąd nie wymiotował na miejscu zbrodni i nie miał zamiaru zrobić tego teraz.

Żadnych wpadek, powiedział mu szef. To była kwestia dumy. Ale Rebus wiedział już, że cel jego podróży do Londynu jest niezwykle poważny. Nie chodziło o dumę, zrobienie dobrego wrażenia czy danie z siebie wszystkiego. Chodziło o złapanie zbrodźcy, przerażająco brutalnego sadysty – i to szybko, zanim zdąży uderzyć ponownie. A jeśli trzeba do tego srebrnych kul, to jak mu Bóg miły, znajdzie je.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).